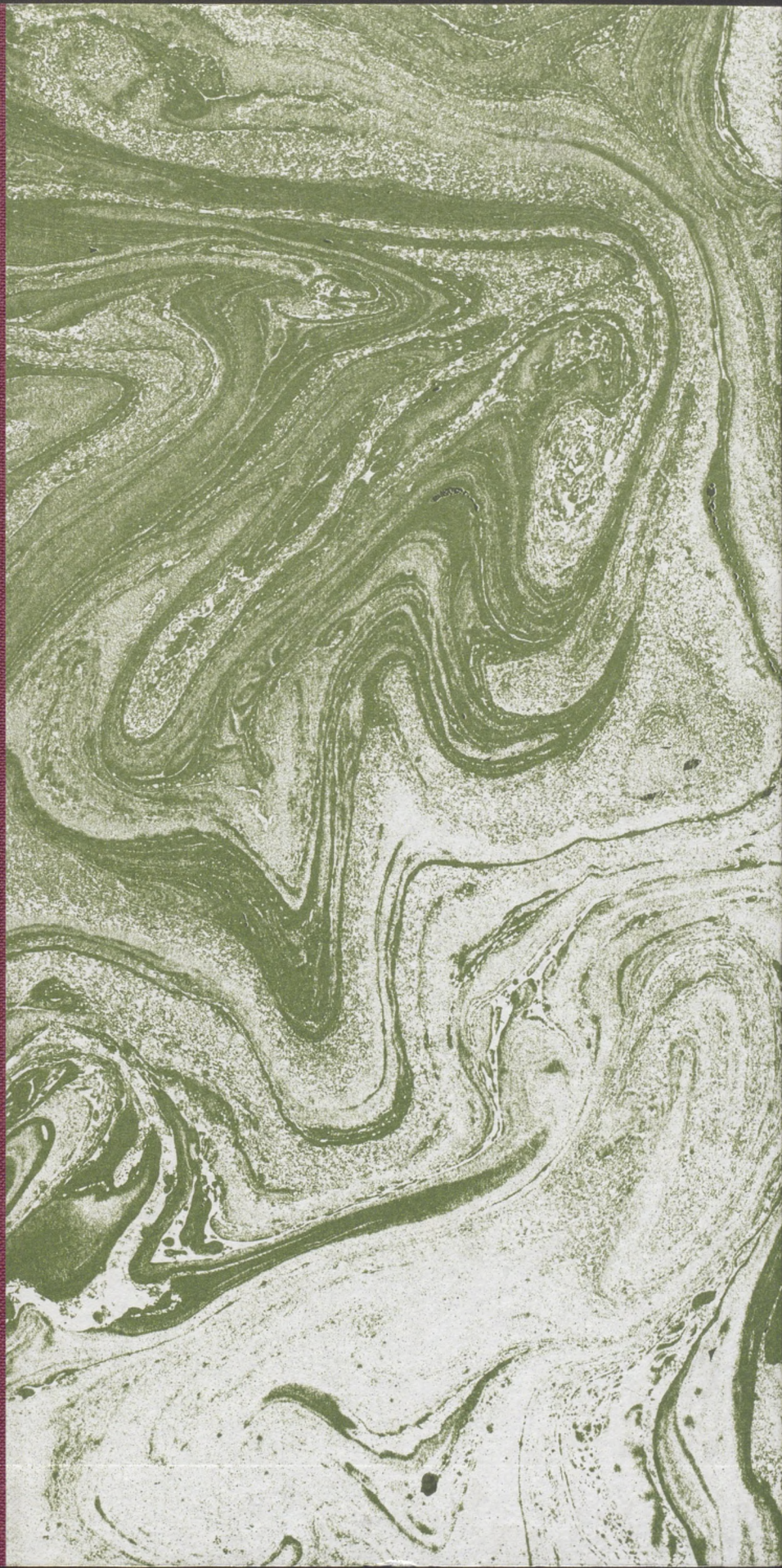
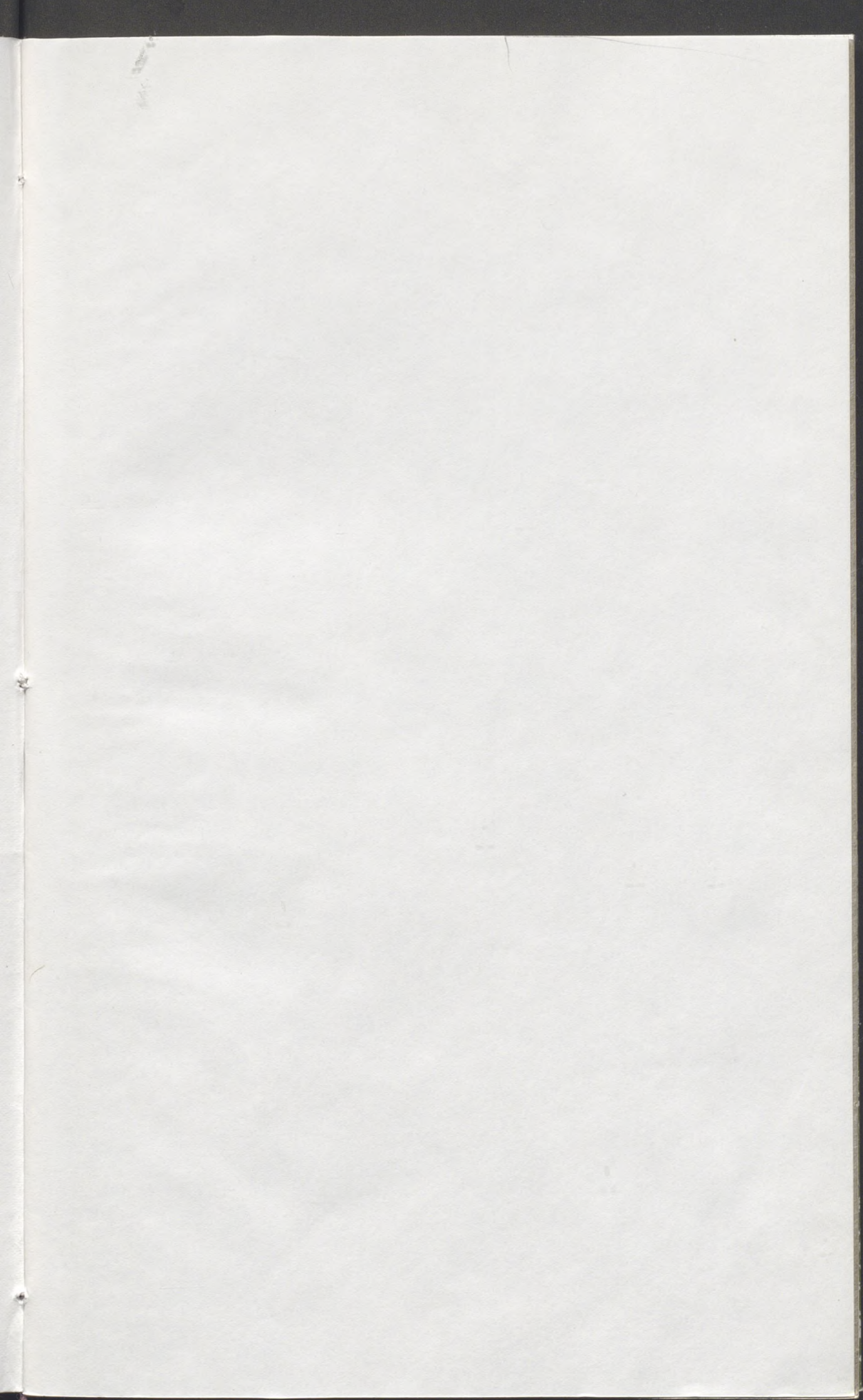


395317







7952 III
III. 395 347

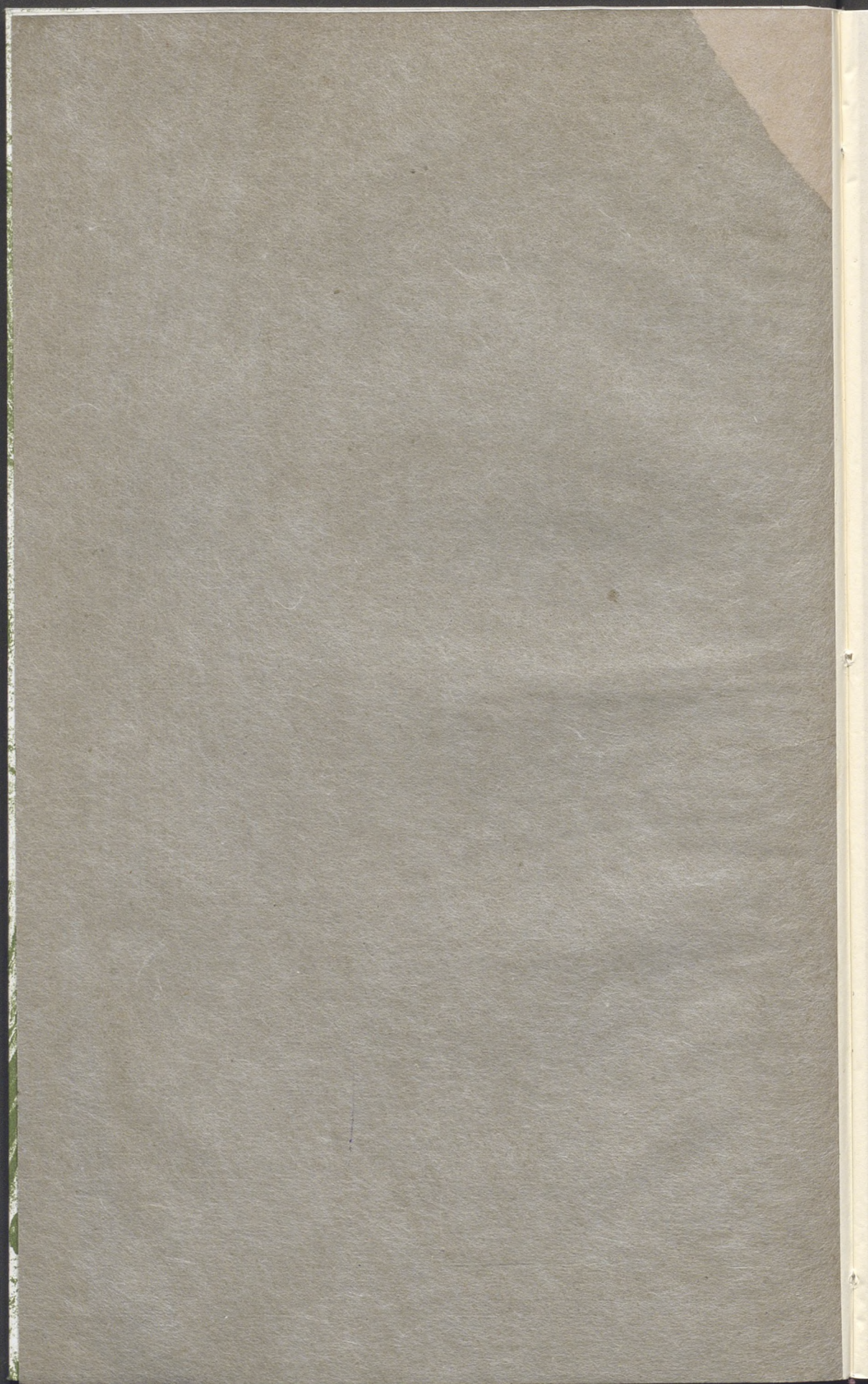
CO ROZUMIEC
O RUNACH SŁOWIAŃSKICH

I
O AUTENTYCZNOŚCI NAPISÓW
NA
MIKORZYŃSKICH KAMIENIACH

NAPISAŁ
DR. ANTONI MAŁECKI.

(Przedruk z Roczników Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego.)

POZNAŃ.
WYDAWCA: TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK
CZŁONKAMI N. KAMIĘŃSKIEGO I SPÓŁKI W POZNANIU
1872.



CO ROZUMIEĆ
O RUNACH SŁOWIAŃSKICH

I

O AUTENTYCZNOŚCI NAPISÓW

NA

MIKORZYŃSKICH KAMIENIACH

NAPISAŁ

Dr. ANTONI MAŁECKI.



(Przedruk z Roczników Tow. Przyjaciół Nauk.)

POZNAŃ.

NAKŁADEM TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK,
CZCIONKAMI N. KAMIENSKIEGO I SPÓŁKI W POZNANIU.
1872.



III. 395.317
—

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019105398

Co rozumieć o runach słowiańskich i o autentyczności napisów na Mikorzyńskich kamieniach?

Życie umysłowe w społeczeństwach słowiańskich, t. j. życie prawdziwie godne tej nazwy, zdolne coraz dalszego postępu, rozwijające się nieprzerwanie i z siebie i z otaczających żywiołów, mianowicie wspierane zasobami wiedzy starożytnego świata, który w ciągu wieków średnich głównie zasilał potomność — rozpoczęło się dopiero po wprowadzeniu religii chrześcijańskiej i w bezpośredniem następstwie tego właśnie zdarzenia. Wprawdzie wątpić o tem nie można, że i w pogańskich już czasach byli przodkowie nasi w posiadaniu pewnych wyobrażeń, pojęć, ideałów, domysłów, doświadczeń, podań dziejowych, które razem wzięte stanowiły pewną oświatę, i że tak powiem, wiedzę onych pokoleń. Kapłani górowali nad resztą społeczeństwa pewną duchową przewagą — była zatem jakaś, im tylko właściwa, kapłańska mądrość. Lud śpiewał pieśni — posiadał zatem poezję. Cześć bałwochwalcza gromadziła się około posągów bogów, w świątyniach „misternie budowanych“: były zatem pewne początki sztuk pięknych. W gajach Prowego odbywały się co tydzień w dniach stałe oznaczonych sądy publiczne: posiadano przeto i prawo zwyczajowe. W baśniach ludowych przekazywało jedno pokolenie drugiemu osnowę, na którą się składały pamięć przeszłości i rojenia fantazyi poetyckiej. W przysłowiaich tkwiły pewniki wielowiekowej rozwagi empirycznej, którą wolno nazwać... filozofią ówczesną. Słowem, przyznać należy i wiekom, które poprzedziły epokę chrześcijańską, pewien stopień oświaty i to w każdym prawie kierunku pracy duchowej. Pomimo tego jednak były to takie tylko zdobycze ducha, które stanawszy na pewnym punkcie swego rozwoju, nie miały już siły iść dalej. Chodzić tylko mogło o mozolne z pokolenia w pokolenie zdobywczy onych przekazywanie, a nie o ich posuwanie stopniowe naprzód i przerabianie na pojęcia coraz bliższe rzetelnej prawdy.

Było tak i być musiało z dwóch przyczyn. Jedną z nich upatruję w tradycyjném, w obyczaj narodowy zamienioném *odosobnieniu* Słowian ówczesnych od reszty świata, w skutek czego miały wieki całe, nie zmieniając w niczém warunków bytu i wyobrażeń tradycyjnych tego plemienia. Drugą, niemniej ważną przyczynę stanowiła *niepiśmienność* tych społeczeństw, trwająca aż do samego końca pogańskich czasów.

Wprawdzie wiele nam prawią zaentuzjazmowani dla starożytności ojczyznej archeologowie nasi o *runach* słowiańskich. Wedle ich przekonania, mieli Słowianie już w epoce swojej pogańskiej, za pomocą pisma runicznego, posiadać wszelkie środki nie tylko utrwalania myśli swoich, ale i udzielania drugim. Zgodzić się jednak na zapatrywanie takie nie można. Najprzód bowiem zauważyć wypada, że runy, to jeszcze nie piśmienność! Wydlubane, wyrzeczane, wyrte mozolnie pojedyncze wyrazy (szeptu niejako) na kamieniu, kruszcu lub drzewie — to rzecz jeszcze bardzo daleka od prawdziwej mowy piśmiennej, przemawiającej żywem, pełnem ruchu i swobody wylaniem najskrytszej myśli. A potem, całe to przypuszczenie, *istnienia* słowiańskich run dotyczące, polega zdaniem mojem na bardzo kruchej podstawie. W świetle nieuprzedzonej krytyki okazują się te runy albo urojeniem bezwarunkowém, albo też w najlepszym razie tak drobną, tak w tém plemieniu wyjątkową jedynie rzeczą, że sprowadziwszy ją do zgodnych z prawdą historyczną rozmiarów, mało co z niej pozostanie, coby warte było uwagi.

Sztuka pisania została wynaleziona prawdopodobnie w Egipcie. Najpierw używano tam pisma *obrazowego* (hieroglifów), następnie *znakowego* (tak zwanego demotycznego czyli świeckiego), które więcéj już było zbliżone do naszego systemu. Z Egiptu przejęli sztukę pisania Fenicyjanie i przekształcili ją na pismo *literowe*, na którémto stanowisku rzecz ta zostaje dotąd. Od Fenicyjan wzięli pismo Grecy; od Greków Etruskowie i Rzymianie, a od tych, razem z ich cywilizacją lub chrześcijaństwem, otrzymały je nareszcie dalsze północne narody. Każde z tych wszystkich społeczeństw przeistaczało po swojemu kształty liter przejętych i zmieniało też ich ilość albo porządek wedle potrzeb swego języka. Dla tego też widoczne są między wszystkimi tymi alfabetami i podobieństwa w téj mierze i różnice stanowe.

Runy skandynawskie zajmują odrębne stanowisko. I one wprawdzie okazują także niejaki podobieństwa, w zakresie przynajmniej niektórych liter, do alfabetów łacińskiego albo greckiego; ale nieokrzesanym kształtem swoim słuszny a dostateczny dają powód do przypuszczenia, że się z nich jednak nie wyrobiły. Musiały one przybyć — przed przyjęciem jeszcze przez tamte alfabetów kształtów miłych dla oka, i w każdym razie w odległej głębi czasów jeszcze pogańskich — do tych północnych stron Europy jakąś drogą krótszą, uboczną. Musiały przybyć w niezupełnym jeszcze liter zasobie; w skutek czego tutejsi ludzie zmuszeni byli pomno-

żyć ich liczbę na własną rękę, t. j. charakterami o nowych zupełnie kształtach. Rozpowszechniły się w tej postaci na skandynawskim półwyspie, w Islandyi i w Niemczech północnych. Z przyczyny, że ich tutaj wedle obyczaju wieku owego używano tylko do wykuwania i rycia na materyale twardym, jakim jest kamień, drzewo, kruszec itp. nazwano je u Skandynawców runami; *runnen* bowiem w tamtych językach tyle znaczyło, co *ritzen* (ryć, dłubać). Razem z tą nazwą przejęły później o nich wiadomość i inne języki.

Mniemane runy *słowiańskie* kształtem swoim zaledwie się w pewnych literach różnią od skandynawskich*). Gdybyśmy tedy nawet przypuścili, że rzecz ta znana była Słowianom; to i w takim nawet razie uważaćbyśmy ją musieli za osobliwość zagraniczną, żywcem przez nich zapożyczoną, i właśnie przeto za nadzwyczajność tylko wyjątkowo chyba tu i owdzie w Słowiańszczyźnie praktykowaną. Pojmowanie zaś rzeczy owęj odwrotne, t. j. że Słowianie byli pierwotnymi run piastunami, a może nawet wynalazcami, Skandynawcy zaś od Słowian dopiero e otrzymali: widzi mi się wręcz niedorzecznem.

Wszystko, co dało powód do wiary w runy słowiańskie, daje się sprowadzić do następujących punktów. Odkryto w ciągu stu lat ostatnich bardzo wiele przedmiotów starożytnych, opatrzonych runami, a jak mniemano, niewątpliwie słowiańskich i autentycznych. Oprócz tego dwaj bardzo starożytni i godni wszelkiej wiary pisarze, Diethmar i Chrabr, pozostawili świadectwa, z których to niby wnosić należy.

Chrabr, zakonnik bułgarski, w pierwszej ćwiartce X wieku żyjący, w rozprawie swęj „*O pismenech*“, po starosłowiańsku pisanęj, tak się w tym przedmiocie wyraził:

Przed wynalezieniem liter słowiańskich przez św. Cyrylla, „Słowianie ksiąg nie mieli, lecz kréskami i karbami („czrtami i rëzkami“) czytali i wróżyli, dopóki byli w pogaństwie. Kiedy zostali ochrzczeni, próbowali pisać słowiańskie wyrazy literami rzymskimi i greckimi, co ich jednak tylko w błąd wprowadzało. Bo czyżto można wyrazić owém pismem nasze słowa dokładnie? Czyż np. następujące wyrazy: *bóg* (greckie β znaczyło w owym czasie już *w*), *żywot*, *dżelo* (= bardzo), *crkow*, *czajanie* (spodziewanie się), *szyrota* (szerokość), *jad*, *qdu* (skąd), *junost*, *język* itd. można należycie wyrazić literami greckimi? Przecież oświecił ich w tém sam Pan Bóg, skoro im zesłał Konstantyna „filozofa“ (Cyrylla) i t. d.**)

*) Można się o tém przekonać z zestawienia obydwóch rodzajów run, danego w różnych pismach ogłoszonych o tym przedmiocie, a najlepiej w rozprawie *Wawrz. Surowieckiego* „O charakterach pisma runicznego“, jako téż w artykule Dra W. Cybulskiego p. t. „Obecny stan nauki o Runach słowiańskich“, zamieszczonym w I tomie *Roczników Tow. Przyj. Nauk Poznańskiego* (1860). Cybulski i Surowiecki przypuszczali bowiem runy słowiańskie, jako własne pismo tego plemienia i różne od skandynawskich.

**) Zachowany fragment tego utworu Chrabra kilka razy był drukowany; za-

Mnie się zdaje, że to świadectwo Chrabra obraca się właśnie przeciwko runom u Słowian. Nie mieli ksiąg żadnych przed nawróceniem! Po nawróceniu uciekali się do liter łacińskich albo greckich, choć im się to wcale nie wiodło. Byłoby to potrzebne, gdyby były w używaniu runy słowiańskie? Ale „czytali“ (czteachą), mówi nasz świadek, i to „rèzkami!“ Słowo *czisti* (czyść, czytać) znaczyło w ówczesnej mowie i *czytać* i także *liczyć* (stąd *czysło* = liczba). Więc po prostu rozumieć to należy tylko o karbach i kreskach jako znakach, którymi sobie niepiśmienne te pokolenia ułatwiały *liczenie*, jak to i dziś jeszcze czynią gumienni nasi i owezarze czytać nie umiejący — a nie o *czytaniu* i runach. Z tego miejsca przeto nie wynika!

Drugim autorem, do którego się obrońcy run słowiańskich odwołują, jest znany niemiecki kronikarz, współczesny naszego Bolesława Chrobrego, *Diethmar*. Mówi on w pewnym miejscu swojej kroniki, dotyczącem bałwanów ustawionych w sławnej słowiańskiej świątyni w Retrze, że było na każdym z nich wyrzeźbione imię bożyszcza*) To świadectwo na razie zdaje się, że wiele znaczy. Godzi się jednak zapytać, czy była to tak bardzo pewna wiadomość? Czy *Diethmar*, biskup niemiecki, był sam w wnętrzu owej świątyni i naocznie oglądał owe napisy? A jeżeli rzeczywiście je widział, skąd taka pewność, że te napisy były runiczne? Wszakże działo się to już w XI wieku. W tych stosunkowo tak późnych czasach i zwykle litery mogły już być na posągach wyryte, zwłaszcza jeżeli je zdziałał jaki niesłowiański, biegleszy w swęj sztuce rzeźbiarz, które to przypuszczenie wcale nie widzi mi się niepodobnem do prawdy. *Diethmar* Słowianom przecież skądinąd wcale nie przyznawał znajomości sztuki pisania. Wszakże w innem miejscu tejże swojej kroniki, w którym to z właściwą sobie rubasnością prawi o nieśmiertelności duszy, wyraźnie dodał, że to, co mówi, powiada dla niepiśmiennych nieuków, a zwłaszcza Słowian, „*illiteratis et maxime Sclavis*“ (ks. I, cap. 7).

A więc z *Diethmarowego* świadectwa nic nie wynika takiego, coby tę sprawę podnosiło po nad wszelką wątpliwość.

Gorzéj daleko rzecz się przedstawi, jeżeli wczmiemy pod rozbiór odszukane dotąd, pozytywne, naocznie niby rzeczy dowodzić mające za bytki owego pisma. Żaden z nich nie może być uważany za słowiański i zarazem za autentyczny, t. j. niesfałszowany...

Tu należą przedewszystkiém sławne owe wykopaliska *prylwickie* czyli tak zwane obotryckie bożyszcza, w których starożytność wierzą ciągle jeszcze wszyscy nasi bez wyjątku badacze. — Prócz tego należą tu runiczne napisy na *monetach i pieczętkach litewskich*, poczytane za słowiańskie przez Teodora Narbuta, który téż pierwszy dał o nich wiedzieć; choć nie pojmuję, dla czego byby one miały słowiańskie, kiedy

mieszczony jest na samym końcu i w dziele *Památky drevniho pisemnictvi Ji-hoslovanüv*, wydaném przez *Szafarzyka* w Pradze r. 1851.

*) Księga VI, cap. 17 „*Stant dii manu facti, singulis nominibus insculptis.*“

się znajdują na zabytkach znalezionych w obrębie innego ludu i kraju. — Następnie odgrywa tu wielką rolę napis runiczny „*Czernobog*“, odczytany na *lwie kamiennym*, postawionym przed katedralnym kościołem w mieście Bambergu w Bawarii. Odkrycie to zrobił w r. 1835 poeta czeski Kollar, jedna z najbałamutniejszych głów, które tylko się kiedykolwiek archeologią trudniły. Rozgłosił je z taką wrzawą, że nawet Szafarzyk temu odkryciu uwierzył. Przez kilkadziesiąt lat figurował odtąd ten napis, jako rzeczy dowodzący, we wszystkich dziełach o literaturach słowiańskich. Dopiero w r. 1852 przekonał się Cybulski, oglądając rzecz na miejscu, że żadnego zgoła napisu na lwie tym kamiennym nie ma. Okazało się wtedy, że to, co Kollar poczytał za runy, były to tylko przypadkowe szpary, szczyrby i napęknięcia powierzchni tego wyrobu, spowodowane częścią zębem czasu, częścią swywolą ulicznika może jakiego. — Podobnie także na urojeniu jedynie polegało, co Andrzej Kucharski popisał po gazetach w r. 1829 o napisach przez siebie odczytanych na dwóch *hełmach styryjskich*, znajdujących się w cesarskim gabinecie starożytności w Wiedniu. Hełmy te od roku już 1812, w którym zostały wykopane z ziemi, przy karczowaniu lasu jakiegoś, między miastem Pettau a Radkersburg w Styryi, zajmowały archeologów niemieckich dla napisów, jakie miały na sobie. Różni różnie je czytali — sensu nikt dorozumieć się nie mógł. Wtém przybył do Wiednia odbywający właśnie naukową swoją podróż po całej Słowiańszczyźnie Kucharski, którego archeologiczna fantazja śmiało współubiegać się mogła z poetyczną domyslnością Kollara. Zdecydował po niedługim namyśle, że to są runy słowiańskie. Odczytał je zaś w taki sposób:

Sidaku, tu dli Jarmeisel, żupni pan Wapi.

To miało znaczyć: Mularzu, tu leży Jaromyśl, żupny pan Wapi.

Przypuścił bowiem Kucharski, że napis ten wyrtyto na hełmie owym dopiero po śmierci jego właściciela, kiedy go już złożyć miano do grobu (!) A że (według wyobrażenia tych, którzy napis ten ryli) miał kiedyś w przyszłości chyba mularz jaki dobrać się do onego w głębi ziemi grobowca, więc dla tego zwrócona do mularza przemowa...

Napis drugiego hełmu połączył Kucharski z pierwszym, jako bezpośrednią kontynuacją téj notaty o Jaromyślu (!) i czytał go tak:

Ejarifas i eie abil.

to jest: Ejaryfas go tu ubił...

Pomimo całej niedorzeczności tego pomysłu, jaskrawo tryskającej z każdej litery; pomimo tego, że pod językowym względem niemiłosiernie wszystko to było naciągnięte: — i ta jednak nowa wiadomość o słowiańskiej literaturze runicznej przeszła jako pewnik do wszystkich dzieł naukowych, nie wyjmując nawet dzieł mężów skądinąd tak znakomitych jak nimi byli np. Lelewel i Wiszniewski! Wyśmiał ją dopiero Łepkowski w Bibliotece Warszawskiej około r. 1851, a jeszcze lepiej wykazał jej bezzasadność w r. 1860 w przytoczonym powyżej artykule swoim Cybulski*).

*) Dowodniejsze badania późniejszych stwierdziły co do tych hełmów, że li-

Podobnej wartości było i inne jeszcze odkrycie Kucharskiego. W Toruniu w kościele św. Jana znajduje się *chrzcielnica z starożytnym napisem*.

I to także miały być runy słowiańskie, które nasz starożytnik tak odcyfrował:

*Z dyaboly w lewo (?) Jesus Gospod chce zlewać ciebie
wodą tą i żywot woda ta zdrowy podaje ludowi.*

Ogłosił odczytanie to swoje w r. 1850 w Bibl. Warsz. jako „najdawniejszy zabytek polszczyzny^a”, bo z XI pochodzić mający wieku. Tymczasem chyba niewiedomo mu było, że jeszcze 1844 r. w Przyjacielu Ludu Dr. Ney udowodnił, że to zabytek znacznie późniejszy, z końca XIV najrychlej datować mogący wieku, a zatem już chrześcijański; napis zaś bynajmniej nie jest runiczny, ale literami łacińskimi, zbliżonemi charakterem swoim poniekąd do kirilicy.

W r. 1855 i 1856 nakoniec przybyły do tego wszystkiego jeszcze i *Mikorzyńskie kamienie*, wydobyte z ziemi w Mikorzynie w ostrzeszowskim powiecie w W. X. Poznańskim. I one są także pokryte pismem runicznym. — Sprawily wiele zamętu w całym naszym świecie uczonym. Wywołały komentarze i roztrząsania, które przez długi czas zapępiały różne nasze pisma czasowe i spowodowały do zabierania głosu w tej sprawie nawet pierwsze powagi na tém polu literatury, między innymi także i Lelewela. Z ich to powodu zabrał się i profesor Cybulski do napisania swojej rozprawy o runach. Wykazał w niej bardzo trafnie nieautentyczność wszystkich wprowadzie aż dotąd tu wymienionych, mniemanych i urojonych zabytków runicznej piśmienności. Co do mikorzyńskich jednak kamieni stanął silnie za ich autentycznością, w czém zresztą powtórzył tylko panujące o tém przekonanie powszechne. Właśnie zaś przeto oświadczył się stanowczo i za autentycznością owych pryłwickich obotryckich bałwanków, które niektórzy od pierwszej chwili posądzały o podrobienie. Takowe bowiem w skutek podobieństwa napisów na nich się znajdujących, do napisów na mikorzyńskich kamieniach, razem z nimi albo musiały być poczytane za zfałszowane, albo za rzeczywiście z najodleglejszej datujące starożytności.

Takie więc jest ostatnie słowo aż do chwili obecnej w kwestyi i mikorzyńskich zabytków i pryłwickich. Mnie poszukiwania moje doprowadziły co do tych ostatnich, t. j. pryłwickich bałwanków, do wręcz przeciwnego wypadku. A ponieważ rzecz tę uważam za nader ważną, gdyż wiara w autentyczność tych odkryć, dopóki nie będzie obalona, będzie dawała powód do coraz nowych urojeń w zakresie archeologii: przeto niechaj mi będzie wolno zająć tu czytelnika uwagę dokładniejszem nieco opowiadaniem przebiegu sprawy tu poruszonej, z wyłożeniem powodów, dla czego uważam i jedne i w konsekwencji drugie także zabytki za zfałszowane.

tery na nich etruskiego są pochodzenia. Znaczenie jednak napisów do dziś dnia nie-
docieczone.

Fabrykat zwany wykopaliskiem „prylwickiem“ wcale nie pochodzi z Prillwitz. Był on robiony rzeczywiście w mieście *Neubrandenburg* w Meklemburgii, i to nie naraz, ale po trosze, w różnych czasach drugiej połowy przeszłego wieku.

Pierwsza jego partya przypada na czas między rokiem 1757 a 1768.

W rok 1757 pojawiło się wydane w Hamburgu dzieło *Clüvera* „Beschreibung des Herzogthums Meklemburg.“ Dano w niem między innemi (na str. 264 części I) wzorzec run tak zwanych północnych czyli skandynawskich, który zwrócił w szerszych kołach uwagę na zdarzające się czasem i w północnych także Niemczech takie runiczne napisy, jako też na archeologiczną wartość zabytków tego rodzaju. Mało co przedtem pojawiły się „Monumenta inedita rerum german“ *Westphala* (Lipsk 1739), w których (w tomie I) sprawa ta także poruszona została. Oprócz tego znane było w całych Niemczech, a więc i w tamtych stronach, dzieło naszego *Hartknocha*, wydane jeszcze r. 1684 w Frankfurcie: „Alt und neues Preussen.“ Mówi w niem autor o różnych rzeczach dotyczących Prus starożytnych, między innemi także i o czei bałwochwalczej prusko-litewskiej. Jeżeli do tego dodamy jeszcze ową wzmiankę w *Dithmara* kronice, o świątyni pełnej bogów najrozmaitszych w Retrze i o napisach imion tychże bożków na ich bałwanach, która często była przytaczana w różnych dziełach ówczesnych (nb. w fałszywem najczęściej tłumaczeniu:*) to będziemy mieli całą podręczną bibliotekę fabrykanta owych starożytności.

Starożytności te w roku 1768 były już w pewnej części swojej gotowe. W tym to czasie niejaki Dr. Hempel, lekarz w *Neubrandenburgu*, zakupił od braci *Sponholtzów*, także tam mieszkających, 46 sztuk rozmaitych przedmiotów starożytniczych. Mocno śniedzią zielonawą pokryte, zniszczone jakby w jakimś pożarze, bardzo niezdarnie wykonane — były to po największej części posąжки bóstw rozmaitych słowiańskich; przedstawiały jednak także i inne rzeczy np. laski kapłańskie, czary świątynne, tace ofiarne, ostrza od włóczni, noże, kraty jakieś i t. p. Posąжки były fantastycznej postaci, rozmaitej wagi i miary. Ważyły po 4, 10, 30 i więcej łutów, ale niektóre dochodziły i do 6 lub 7 funtów. Były i wydrążone wewnątrz i pełne (*massiv*); z postumentami i bez po-

*) Autentyczny text *Dietmara* czytać należy tak: „Interius autem dii stant manu facti, singulis nominibus insculptis, galeis atque loriceis terribiliter vestiti.“ (Bogowie, groźnie odziani w helmy i zbroje, z wyrytymi napisami imion na każdym posągu). Otóż to miejsce dawniej powszechnie źle rozumiano, jak to i z dzieła *Mascha*, o którym zaraz więcej powiemy, i z samego *Naruszewicza* widzimy (Obacz jego *Hist. Nar. Pol.* Tom I część II). I łącząc *insculptis* z wyrazami *galeis atque loriceis* w jedno, przekładano wzmiankę tę tak: „Stoją tam w wnętrzu ręką zdziałani bogowie, z wyrzeźbionemi każdego boga imionami na helmach i na pancerzach, straszliwie uzbrojeni.“ Otóż ten to mylny przekład przywiedzionego ustępu naprowadził fałszerza na myśl dawania napisów runicznych nie tylko na posądkach, ale i na różnych najmniejszych nawet przedmiotach, stanowiących ich ubiory i przybory ofiarne.

stumentów. Rozmiary ich wzdłuż dochodziły u niektórych aż do 10 cali; były jednakże i mniejsze, tak iż najmniejszy ze wszystkich tylko półtrzecia cala wynosił. Ulane były z kruszczu — i to najrozmaitszego: czasem z jakiejś mieszaniny, czasem z żółtej jakiejś masy, czasem z ołowiu (który niepojętym dla mnie sposobem nie stopił się w mniemanym owym pożarze!!). Niektóre sztuki tak były wykonane, że np. głowa i tułów były zrobione z kruszczu żółtego, nogi z ołowiu, a postument znowu był żółty. Wszystkie te przedmioty, nie tylko bożki, ale i najlichsze nawet sprzączki miały na sobie runiczne napisy. Te napisy po największej części były na nich wyryte, ale zdarzały się i wypukłymi oddane charakterami.

Według opowiadania Sponholtzów, pierwotnych właścicieli owego skarbu, i innych także osób z ich rodziny i otoczenia, miało to być wykopalisko bardzo dawno przedtém odkryte. Przed 70 lub 80 latami miał je przypadkiem w ziemi w ogrodzie swoim wydobyć jakiś ich krewny, który się nazywał Fryderyk Sponholtz i był pastorem w Prylwichach. Śmierć jego zaszła w r. 1697. Znalezione były w ziemi wszystkie te przedmioty razem, i to w dużym kotle ofiarnym, spiżowym, nakrytym drugim takimże kotłem. Na tych obydwóch kotłach miały się znajdować także runiczne napisy. Pastor z obawy, ażeby rząd albo właściciel Prylwie nie odebrał mu tego skarbu, którego wartość wyobrażał sobie tém większą, że przypuszczał, iż się i srebro mieści w kruszczu, z którego te rzeczy były ulane — miał zataić przed światem to odkrycie swoje aż do samego zgonu. Później, po jego już śmierci, gdy stopiwszy jeden posążek przekonano się, że srebra w téj mieszaninie nie było: miała sprzedać Sponholtzowa, wdowa owego pastora, ten zbiór cały krewnemu swemu Pälkemu, złotnikowi w Neubrandenburgu, który wszelako nie zrobił także żadnego z niego użytku i tylko dał owe kotły obydwu przelać na dzwon do jednego z kościołów owego miasta. (Poszukiwania późniejsze jednak udowodniły, że w całym owym czasie nie lano tam żadnego zgoła dzwonu, dla żadnego w Neubrandenburgu kościoła!) Od Pälkego, który także niedługo potém umarł, miała ta, własność, ciągle w najściślejszej utrzymywana tajemnicy, przejść spadkiem na jego zięcia; a tego zięcia synami byli właśnie ostatni dwaj właściciele onego zbioru, t. j. Jakób i Gideon Sponholtzowie, którzy go w r. 1768 odprzedali Dr. Hemplowi. Jakób, równie jak już i ojciec jego i Pälke, był z rzemiosła złotnikiem. Uchodził w mieście za poczciwego i porządnego człowieka, równie jak i całe grono osób wmieszanych do téj historii, po największej części wtedy już niebędących przy życiu. Brat jego Gideon przeciwnie, mniej korzystnej używał reputacyi, choć i jemu nie zarzucano nic tak dalece zdrożnego. Był to sobie za młodu próżniak, który się w szkole niczego nie nauczył, tak iż zaledwie umiał pisać. Żył później w domu braterskim jako bezzenny współmieszkaniec, który się niczem nie zajmował na seryo. Znał się trochę na złotnictwie, jako syn i brat ludzi tego rzemiosła, i partaczył

niekiedy dla własnej przyjemności, posługując się w takich razach przyrzadami i czeladzią brata swojego. Miał się dobrze, więc nie mu nieprzeszkadzało puszczać się swobodnie za popędami swojej fantazyi; ta zaś szczególnie go ciągnęła do zbierania starożytności. Wprawdzie nie znał się on na tém, nie szukał też w tém i zysku; ale miał namiętność posiadania takich osobliwości. Pochlebiało mu, że go ludzie uważali za wielkiego archeologa, że go uczeni zachęcali do poszukiwań, że mu rząd później nawet udzielił upoważnienia do podejmowania rozkopywań po całym kraju. To się też włóczył po całym jego obszarze — wynajdywał, zbierał... a przy sposobności (jak to wprawdzie po jego dopiero śmierci wyśpiewali ci, co z nim w domowych żyli stósunkach) podrabiał i fałszował niejedno. —

Według objaśnień Sponholtzów, udzielonych nowemu wykopaliska tego nabywcy, miała wieś Prylwice leżeć na gruncie głośnego w starożytności, zburzonego w XII wieku, miasta słowiańskiego Retry. Twierdzenie to znalazło powszechną wiarę, a znalazło ją tém łatwiej, że ani go stwierdzić ani mu też zaprzeczyć nie było można. Wzmianki kronikarskie o położeniu Retry są jak wiadomo tak sprzeczne pomiędzy sobą, iż i dziś jeszcze nic z nich pewnego nie daje się wyrozumieć. Owoż wyobrażono sobie, że zabytki, w głębi ziemi na tym gruncie znalezione, były czasu swego poumieszczane w sławnej świątyni słowiańskiej owego miasta. Doczekały się pożaru tejże świątyni. Po jej spaleniu miała jakaś pobożna ręka pozbierać z zgłiszczów, co tylko nie było jeszcze zupełnie ogniem zniszczone, i zakopać w głębi ziemi, aby świętości te ocalały do lepszych czasów...

Na zapytanie wyraźne Hempla, czy te 46 sztuk, które wtedy od złotników owych nabywał, stanowią cały zasób rzeczy pochodzących z tego wykopaliska? odpowiedział Jakób Sponholtz, który mu je sprzedawał i był uważany za rzetelnego człowieka, że to jest wszystko. Obstawiał (lecz tylko w obec Hempla) z zatwardziałością i później przy tém twierdzeniu.

Kiedy się wieść o tym nabytku Hempla w świecie uczonym rozniosła przez różne pisma czasowe, z których niektóre jednakże już w owych latach podejrzwały całe to odkrycie o złośliwą mistyfikacyą, zajął się malarz miejscowy nazwiskiem *Woge* zrobieniem z wszystkich tych starożytności jak najdokładniejszego rysunku. A że to miało być ogłoszone drukiem, więc się postarał i o text archeologiczno-explicacyjny tych wizerunków, którego dokonał z erudycyą, na jaką go tylko stało, choć bez krytyki, superintendent z Neustrelitz *Masch*. W taki sposób powstało dzieło, w r. 1771 lub 1772 wydane, p. t. następującym. „*Die Gottesdienstlichen Alterthümer der Obotriten aus dem Tempel zu Rhetra in Kupferstichen, nebst Hrn. A. G. Maschens Erläuterungen*“ i t. d. *Berlin*, bez oznaczenia roku, 4to. Dano w niém wierne kopie wszystkich przedmiotów owego świeżo zakupionego zbioru, razem z runami, któremi takowe były pokryte; dołączono także i odczytanie tychże run (podług wzoru Clüvesa), wraz z wyjaśnieniem prawdopodob-

bnego znaczenia każdego bożka. Dołączono wreszcie opis całego przebiegu rzeczy, od czasu mniemanego w XVII jeszcze wieku wykopania z ziemi owych osobliwości aż do chwili ostatniej.

Kiedy ta publikacya była w rękopisie już prawie na ukończeniu, przyszło Maschowi na myśl, że należałoby się jednak dobrze przekonać, czy też u Sponholtzów nie znajduje się jeszcze więcej takich starożytności? Udał się tedy z tém zapytaniem do Jakóba Sp. (złotnika zatem i statecznego człowieka, który przed 2 lub 3 laty dał był zapewnienie Dr. Hemplowi, że to już jest wszystko, co posiadali), i cóż od niego usłyszał? Wydobył z niego po niejakiach wstętach i korowodach przyznanie, w największém jednakże zaufaniu, że jest u nich takich rzeczy z tegoż pochodzących źródła, i więcej jeszcze! Znalazło się tam tego jeszcze nawet sztuk kilkadziesiąt, które mu też i odprzedano nareszcie na nalegliwe jego żądanie.

Wynurzyły się wtedy zatem nowe 22 posążki, zupełnie takiej samej roboty, jak owe pierwsze, choć zresztą prawie wszystkie wyobrażały inne bożyszcza, jak tamte. Dwa tylko między nimi nie różniły się zgoła niczém od podobnych bałwanków, kupionych już w pierwszej już partyi. Były to zatem proste kopie tamtych (!)

Ponieważ drukujące się dzieło było wtedy jeszcze nieukończone, wcielono przeto teraz do niego i rysunki tych nowonabytych bałwanków wraz z komentarzem. Mamy w niém tedy cały wyczerpnięty materiał tak owęj partyi, którą zakupił był Hempel, jak i téj, którą dopiero na jaw wyprowadzić Maschowi się udało.

Rozumie się samo przez się, że dzieło to napisane zostało w najlepszej wierze. Masch wtedy jeszcze najmocniej był przekonany o autentyczności rzeczy, które opisywał z takim zapałem. Cały sposób zachowania się Sponholtza w téj sprawie nie wzbudzał w nim podejrzeń. Przeciwnie przypuszczać trzeba, że Hempel — po tém wszystkiém co zaszło — zaczynał już wątpić po trosze o autentyczności nabytego przez siebie skarbu. Przynajmniej dał się wtedy bardzo łatwo namówić już Maschowi do odstąpienia mu na własność wszystkiego, co był od Sponholtzów zakupił. Nowy właściciel, połączywszy obydwie części zbioru bałwanków owych w jeden, szczęśliwy z tego że posiadał wszystko, co niegdyś wykopano w Prylwicach, wystawił ten zabytek czci bałwochwalczój Słowian na widok i pożytek publiczny w bibliotece katedralnej w Ratzeburgu, w której też tenże aż do końca wieku przeszłego zostawał. Tutaj właśnie oglądał go w r. 1794 i nasz znakomity rodak, Jan hr. Potocki.

Uczony ten badacz dziejów i pomników słowiańskich, odbywając w roku rzezonym naukową podróż po całych północnych Niemczech, jako przestrzeni przez słowiańskie niegdyś ludy zajmowanej i z tego powodu godnej badań jak najtroskliwszych na miejscu, nie omieszczał oczywiście zwrócić uwagi swojej i na te wykopaliska tyle wrzawy wtedy sprawiające w świecie uczonym. Zwiedził zbiór bożków prylwickich,

wystawiony w Ratzeburgu. Poznał się z Maschem w Neustrelitz. Odwiedził także i dom Sponholtzów w Neubrandenburgu, do czego go spowodowała świeżo znowu obiegająca pogłoska o nowych zbiorach starożytności, znajdować się teraz jeszcze mających w posiadaniu Gideona, brata złotnika. Jakoż rzeczywiście pokazano tu Potockiemu kolekcję złożoną z 104 bożków i innych tego rodzaju pomników czci bałwochwalszej Słowian. Z pomiędzy takowych miało 36 sztuk być znalezionych w ostatnich dopiero latach na jakimś polu należącym do rodziny onych złotników; sztuk 17 podawał Gideon za nabyte przez siebie z obcej ręki; najważniejsza zaś część zbioru, bo cała reszta sztuk 51 obejmująca, pochodzić miała (pomimo danego poprzednio dwukrotnie twierdzenia w przeciwnym sensie) z tego samego znowu kotła w Prylwickach przed 100 laty wykopanego, z którego obie partye poprzednie wykopalisk swój wywodziły początek!!

Dziwiło to Potockiego niemało, że się Masch widocznie przestał być już interesować tymi skarbami... Kiedy mu wspominał P. iż jedzie oglądać zbiór starożytności Sponholtza, Masch zdawał się nie wiedzieć wcale o exystencji owego zbioru. Potockiemu nie przyszło bynajmniej na myśl, że jeżeli kto, to właśnie Masch powinienby o tém wiedzieć koniecznie; a jeżeli udaje, że nie wie, to chyba dla tego, że już i sam niewierzył w autentyczność tego wszystkiego i tylko wstydził się przyznać, że go potrafiiono oszukać.

Przyjęty w domu złotnika bardzo gościnnie, bawił hr. Potocki przez 3 czy 4 dni na miejscu i przerysował sobie wszystkie przedmioty ówczesnego zbioru Sponholtzów. Były one po największej części takiej samej roboty, jak to, o czém dał był Masch w dziele swoim wiadomość. Runiczne napisy pokrywały i tutaj największą część artykułów; znachodziły się między nimi jednak i rzeczy bez napisów. Z rysunków wtedy zrobionych i dodanego do nich tekstu, ułożonego w formie dziennika podróży, powstało dzieło: „*Voyage dans quelques parties de la Basse-Saxe... fait en 1794 par le Comte Jean Potocki.*” *Hambourg, 1795.* 4°. Napisane jest z niezachwianą wiarą we wszystko, co tylko tam mówiono Potockiemu. Obejmuje w sobie wizerunki samych tylko rzeczy w posiadaniu Sponholtza wtedy będących. (Te partye wykopaliska, które zostały już opisane przez Mascha, nie wchodzą więc w jego zakres.)

Publikacya Potockiego podniosła znaczenie owych starożytności w opinii ludzi uczonych. Dla tego też w kilka lat potem książę mecklenburski nabył je wszystkie na własność — tak to, co Masch w Ratzeburgu wystawił, jak i co Gideon Sponholtz posiadał. Ostateczne umieszczenie otrzymał w r. 1804 cały ten gabinet starożytny w Neustrelitz, w bibliotece książęcej, i tam się też pewnie i obecnie jeszcze znajduje. —

W następnych latach, to jest w ciągu już bieżącego stulecia, wiele bardzo pisano o tych, jak je nazywano „prylwickich bożkach.“ Najpoważniejsze umysły mówiły o nich albo z niedowierzaniem albo nawet



wręcz z przekonaniem, że to wszystko fałszerstwo (Rühs 1805. Jakób Grimm 1815. Dobrowsky 1815. Wilhelm Grimm 1821. i t. d.). Nie brakło jednak i takich, którzy je to z téj, to z owéj przyczyny brali w obronę (Rumohr 1816. Surowiecki i Lelewel, którzy nie znali jednak wszystkiego, co znać należy, ażeby o tém sądzić; później nawet i Jakób Grimm 1836. Cybulski 1860 i t. d.)

Do stanowczego zachwiania wiary w starożytność wykopaliska przyczynił się przedewszystkiem *Lewezow*, uczony archeolog z Pomorza, który je w r. 1825 badał na miejscu przez całe 4 tygodnie i w ostatecznym rezultacie, na podstawie i archeologicznych i chemicznych nawet dochodzeń, wyrzekł stanowczo, że to fałszerstwo — co do run bezwarunkowe, co do samych zaś posążków, z małym chyba może wyjątkiem.

To orzeczenie spowodowało wdanie się samego rządu w tę sprawę. Zamianowana urzędowa komisya do sądowego rozpoznania téj rzeczy, badała ludzi do niej wmieszanych po kilka razy przez ciąg czasu od września 1827 do sierpnia 1829. Sponholtzowie już nie żyli; nie żyli także już Masch i Hempel. Ale byli jeszcze przy życiu niektórzy czeladnicy Sponholtza i inni znajomi owego domu. Na podstawie zeznań tych świadków, *zaprzysiężonych*, okazało się, że to wszystko, co posiadał w r. 1794 Gideon Sponholtz, a Potocki w dziele-swojem opisał i przerysował, było fabrykatem *udowodnionym*. Mianowicie stwierdzone teraz zostało, że znajdował wprawdzie Gideon Sponholtz czasem istotnie jaką starożytność pod ziemią: na takich jednak nigdy napisy żadne nie znachodziły się! Dawał on sobie robić garncarzowi nazwiskiem Pohlowi formy z gliny różnych bałwanków, które potem odlewał z mieszaniny mosiądzu z miedzią i innemi kruszcami. Prowadził robotę tę w tajemnicy! Niektóre bożki pomiędzy wystawionemi przedmiotami w gabinecie książęcym, zostały teraz przez tych świadków, użytych do pomocy, kiedy one były robione, pozytywnie uznane za tesame. Na takich odlewach, równie jak i na przedmiotach rzeczywiście gdzie znalezionych, ryto lub wykuwano potem napisy runiczne w domu Sponholtza i podług jego wskazówek. Za pomocą boraxu i różnych kwasów wytwarzano na nich sztucznie rdzę i śniedź ową zielonkowatą, ażeby tak wyglądały, jak gdyby były rzeczywiście wydobyte z wilgoci i starożytne. Głównem mądrości archeologicznój źródłem dla Gideona, którem się posługiwał, była wtedy owa książka Mascha w r. 1771 wydana, do której on też prawie jedynie zazierał w owéj życia swego epoce. Nie dopuszczał się zaś owéj mistyfikacyi, aby ludzi oszukiwać albo też zysk z tego ciągnąć. Przeciwnie, gniewał się nawet, kiedy brat jego Jakób, złotnik, pierwsze owe bałwanki pod niebytność jego w domu sprzedał Hempłowi. A nawet i ostatnią część nagromadzonych zbiorów swoich wtedy dopiero odstąpił na rzecz gabinetu księcia Meklemburskiego, kiedy już stary był i schorzał. Czynił to wszystko zatem jedynie dla własnej przyjemności i z żądzy

posuniętej do manii, żeby takie przez nikogo niewidziane nadzwyczajności posiadać...

Co się tyczy owych bożków, które o kilkadziesiąt lat pierwiej dostały się w posiadanie Hempla i Mascha, o tych świadkowie nie umieli nic pewnego powiedzieć. Rzecz to była bowiem zbyt dawna. Przypuszczali jednak, że wpływu na ich sfabrykowanie, jeżeli były i one fabrykatami, Gideon Sponholtz mieć nie mógł. Chyba kto inny...

Lewezow w rozprawie swojej, na podstawie własnych spostrzeżeń i tych zeznań wypracowanej, a pod tyt.: „Über die Ächtheit der so genannten Obotritischen Runendenkmäler zu Neu-Strelitz“ zamieszczonej w Abhandlungen der historisch-philosophischen Klasse der kön. Akademie der Wissenschaften zu Berlin aus dem Jahre 1834 (wyszło to dopiero r. 1836 w Berlinie), dowodzi jednak, że i ta część starożytności „prylwickich“ równie była sfałszowana, jak tamta. Opiera dowody swoje na różnych uderzających poszlakach dotyczących ich zewnętrznej powierzchowności: więc n. p. rdzy sztucznej, która kruszec powleka, kształtów bałwanków, pod artystyczno-technicznym względem widocznie nieodpowiednich wszelkim warunkom autentyczności; opiera je na widocznym usiłowaniu owego partacza, który je robił, aby im nadać pozór szczątków niedoniszczonych w ogniu, gdy tymczasem oko znawcy z łatwością widzi, że takiej próby ogniowej one wcale nie przechodziły — wreszcie na innych tego rodzaju porównawczo-archeologicznych okolicznościach. I tak przychodzi do wniosku, że może wprawdzie rzeczywiście za czasu jeszcze życia owego pastora Fryderyka Sponholtza w Prylwicach zostało co wydobyte z ziemi, co dało powód do utrzymującej się o tém przez czas tak długi w całej rodzinie tradycji; że jednak w następnym czasie dołączyły się do tego i oczywiście falsyfikaty, a nawet to, co między nimi pierwotnie autentycznym być mogło, ręka oszusta jakiegoś ozdobiła dopiero owymi napisami. Te bowiem wszystkie, bez wyjątku, Lewezow uznał za podrobione.

Wystąpienie to Lewezowa nie przekonało jednakże wszystkich, mianowicie nie przekonało naszych uczonych, którzy do dziś dnia przy raz o tém powziętém wyobrażeniu stoją, choć z nich żaden nie usiłował nawet odeprzeć zarzutów tego archeologa, mało który je pewnie nawet czytał z uwagą. (Lelewel np. rozprawy Lewezowa wcale nie czytał, jak sam o tém wspomina; bo choć o niej wiele dobrego słyszał, to jęj z nikąd dostać nie mógł na emigracyi.) Zresztą przyznać należy, że wywody Lewezowa, lubo tak gruntownie przeprowadzone w pewnym kierunku, nie wyczerpują też jeszcze całego materiału dowodów, jakie tu mogą i powinny być poruszone; w skutek czego pozostają na uboczu sposoby dojścia do prawdy, które właśnie może do najpewniejszych należą. Za taki właśnie przeważny sposób uważam zbadanie językowej strony obo-

tryckich bałwanków, to jest rozpatrzenie się w treści, znaczeniu i starożytniczej wartości owych napisów runicznych, którymi są okryte.

Kiedy się bierze pod ścisły a trzeźwy rozbiór wszystkie owe bazgraniny na bałwankach prylwickich, to pierwszém pewnie wrażeniem, którego się doznaje przy téj czynności, będzie zdziwienie zdumiewające nad tą mnogością, nad tym nawałem, nad tą prawdziwą ciżbą napisów. Mamy je tu na każdym, by też najlichszym i najobojętniejszym sprzęciku. Widzimy na figurkach niektórych bożków runy te pełzające po ciele i po sukni, z tyłu i z przodu, u stóp i na głowy wierzchołku, na plecach, piersiach, bokach, udach, ramionach. Byłoby to wszystko zapewne wcale niedziwném, a nawet może i naturalném, gdyby pogańscy przodkowie nasi byli mieli tyle przynajmniej gorączki do rylca i dłubania nim w kruszcu, ile jój mają dzisiejsi Niemcy do pióra i kałamarza. Cały kraj nasz w takim razie musiałby być zasypyany zabytkami téj piśmienności.

Drugie, co nie mniej zadziwia, to, że prawie w każdym napisie spotyka się między innymi wyrazami nieuniknione to słowo *Retra*. Prawda, że przedmioty te mają niby to pochodzić z wnętrza świątyni w Retrze. Ale przecież przyzna mi każdy, że choćby one rzeczywiście już odlewane były z tém przeznaczeniem, t. j. dla świątyni rzeczonój, to nie było dla tego jeszcze tak koniecznej potrzeby, wybijać na nich tak nieodzownie imię owego miasta. Wygląda to, jakby cyfra prawego właściciela na białej albo srebrnej stołowej. Na tych przedmiotach, w dzisiejszym zwłaszcza złodziejskim czasie, znaki takie mają swoje słuszne gospodarskie przyczyny. Ale jakiż cel mógłby być takiéj cechy na rzeczach świętych, na przedmiotach czci lub téż narzędziach do nabożeństwa, i to jeszcze w wieku XI lub X? Czyż samo pomieszczenie rzeczy owych w świątyni Retry nie wystarczało na okazanie, że one do niej należą?

Dalsze wrażenie, które w ciągu tych rozpatrywań każdego z podziwieniem ogarnia, to, że się téż ani jeden z owych napisów w jakiś sens zrozumiały nie składa. Same to tylko pourywane wyrazy bez żadnego znaczenia, sylaby jakieś nie wiążące się w słowa, głosy nieartykułowane i prawdziwe bełkoty! Przecież język słowiański Xgo, a choćby IXgo nawet stulecia nie jest dla nas bynajmniej tak znowu niezrozumiałym, żeby bezmyślność i cudactwo owych napisów było tylko skutkiem ich wieku i żebyśmy je kłaść mogli na karb naszej jedynie niedomyślności, a raczej nieznamości języka. Rozrzucone między nimi nazwy bóstw i miejscowości słowiańskich, dobrze znanych skądinąd, ułatwiałyby nam tém bardziej odgadywanie treści ukrytej w tych słowach, gdyby się tylko w nich ukrywała myśl jaka.

Aby czytelnik sam mógł sądzić o rzeczy, przywiode tu właśnie najcharakterystyczniejsze z owych napisów. Kładę w jednym zawsze rządku to wszystko, co się mieści na jednéj sztuce.

Bel. z. Belbog. Ridigast. Rhetra.

Doi. Ridigast. Rhetra.

Rhaz. Ridigast.

Zern. Dlai. Vena. Radegast. Belboeg. Rhetra.

Zir. Vodha. Rhetra.

Pif. daz. Rhetra. Podaga. Asiub. sal. Gül. z. h. t. Podaga. Bill. Lun.

Rhetra. Szuaixtix. Belboeg.

Zu. l. Berstuce. Crive. Veidelot. s. u.

Nemisa. z. rab. Arcon.

i t. d.

Czyż nie dość i tych kilku przykładów, żeby sobie uprzytomnić cały sposób, jak te napisy były tworzone? Brało się z Hartknocha i podręcznych kronik niemieckich nazwiska znanych bogów słowiańskich lub miejscowości mitologicznych, jak Arkona, Retra, Romowe, i przeplatało się te imiona własne wyrazami urojonymi, bełkotami skleconymi na chybi trafi, które im brzmiały cudaczniej, tém bardziej i tém pozorniej miały wyobrażać wyrażenia językowi słowiańskiemu właściwe. Dobre to wszystko dla takich głów niedowarzonych, jak Gideona Sponholtza; ale czyż i my będziemy temu wierzyli, że nasi przodkowie takim mówili językiem?

A cóż téż znowu powiedzieć o *pisowni* tych nazwisk mitologicznych? Jeżeli *Rhetra* pisana tu zawsze przez *rh*, *Arcona* przez *c*, *Crive* przez *c*, *Zern* (t. j. *cern*, *czerny* czyli *czarny*) przez *z*, *belbóg* przez *oeg* i t. d. to czyż mi jeszcze dowodzić trzeba, że to pisał chyba Niemiec, a nie żaden Słowianin?

Lecz choćby to wszystko nie dowodziło jeszcze fałszerstwa: to cóż będziemy o tém sądzili, że tu w najbezmyślniejszy sposób, w sposób prawdziwie partacki, pomieszano bóstwa słowiańskie z Szwajxtxem, z Berstucą, z Wejdelotami, z Krywekrywejtami, z Perkunem, z Romowem i tym podobnemi rzeczami, znanemi i właściwemi samój tylko Litwie pogańskiej? Czyż Obotryccy Słowianie mieli w tamtych wiekach jakie religijne, kapłańskie lub jakiegokolwiek wreszcie inne stałe stósunki z mieszkańcami Prus albo Żmudzi? Czy na jednym i tym samym posądku mogły się znaleźć obok siebie wyrazy: *Retra*, *Szwajxtxa* i *Belbóg*? Że fabrykant tych starożytności, jako człowiek niewykształcony, słowiańszczyznę i litewszczyznę za jedno i to samo uważał, temu się wcale dziwić nie można. Owszém byłoby raczej dziwném, gdyby się téj niedorzeczności nie był dopuścił. Ale czyż dla nas nie dowodzi to namacalnie, że mamy do czynienia z oszustem?

Na jednym bożku, danym u Mascha jako figura 6, pochodzącym przeto z party pierwotnie zakupionej, t. j. owój, o której nie dowiedziono tego sądownie, czy była podrobioną czy autentyczną, położono napis z tyłu na głowie: *Percunust*, na szacie jego: *en Romanu*, a z przodu takie wyrazy: *Percun deuuaite nemusea und man*. Tym razem jesteśmy w tém szczęśliwém położeniu, że możemy oszusta schwycić na gorącym

uczynku, wykazując całą genealogią tego napisu — co tém ciekawsze, że się to ściąga właśnie do sztuki stanowiącej jeden z numerów owego pierwszego działu *).

Łasicki, szlachcic polski, w XVI wieku żyjący, zabrał się do studyów nad religią pogańską Żmudzi i czerpiąc głównie z opowiadań niejakiego Laskowskiego, Kaliszanina, który jako lustrator ziemi żmudzkiej przeżył lat kilka w tym kraju, napisał dzieło *De diis Samogitarum*. W tém dziele udzielił między innemi i téj potocznej o zwyczajach i przesądach litewskich anegdota, że kiedy tam grzmi na niebie, to zabobonny a lekkomyślny wieśniak tamtejszy wychodzi z chaty na dwór z pościem słoniny w ręku, zdejmując czapkę z głowy i patrząc w niebo, takie słowa w języku swoim podniesionym głosem wymawia: *Perkune diuwaiti, ne muszki unt manā diuwa melsu, tawi palti miesu!* Co znaczy: „Perkunie bożeczku, nie uderzaj w moje! Dam ci za to pościę słoniny.“ — Wyrazy te, napisane u Łasickiego z błędami, gdyż autorowi temu nie był wcale znany język litewski, powtórzył Hartknoch w dziele swoim *Alt und Neues Preussen* dosłownie, ale z tymi samymi znowu błędami, gdyż i Hartknoch po litewsku nie umiał. Otóż właśnie tę potoczną — nie powiem modlitwę, ale dykteryjkę Łasickiego o litewskim wieśniaku, przynosi nasz fałszerz z dzieła Hartknocha dosłownie na swój posążek, przynosi ją nie tylko z tymi samymi błędami w pisowni i układzie, które popełnili Hartknoch z Łasickim, ale je pomnaża i swemi jeszcze własnymi przekręceniami — i pomimo tego wszystkiego znajduje wiarę u tylu ludzi uczonych, którzy to wprawdzie z podziwieniem podnoszą, że ta święta formuła wieśniaczej modlitwy do Perkuna mogła być tak rozpowszechnioną od najdawniejszych już czasów na całej téj przestrzeni krajów litewsko-słowiańskich, wszelako wierzą temu i nie widzą w tém żadnego niepodobieństwa.

Na taką łatwowierność, na takie dobrowolne durzenie się tumanami, nie ma prawdziwie lekarstwa. Jeżeli to nawet jeszcze nie potrafi otworzyć oczu na prawdziwe znaczenie całej téj mistyfikacji, to już chyba chcemy się koniecznie łudzić urojeniami **).

*) Wiedzieć bowiem należy, że niektórzy, między niemieckimi nawet archeologami obstają do dziś dnia nawet przy autentyczności działu tego przez Mascha opisanego, a tylko na Potockiego partją spozierają jako na podrobioną. W tym sensie napisane jest dzieło *F. Bolla Kritische Geschichte der s. g. Prillwitzeridole*, 1855.

**) Za takie samo uważać trzeba szalbierstwo i owe wreszcie części kamienie, części płyty z gliny wypalonych, pokryte runicznymi napisami i rysunkami, o których z wiarą w ich autentyczność, podał wiadomość *Hagenow* w dziele *Beschreibung der zu Neu-Strelitz befindlichen Runensteine*. Greifswalde, 1826. I te kamienie dostały się do gabinetu owego od Sponholtza, który miał je po odjeździe już hr. J. Potockiego poznajdywać w tamtych okolicach, po roku już 1794. Kto tyle rzeczy sfalszował, popodrabiał niewątpliwie i te napisy. Jemu tylko udawało się znajdować runy słowiańskie pod ziemią. Oprócz niego — nikomu więcej! Dotąd przynajmniej przykładu drugiego rzeczy takowych nigdzie tam nie znaleziono.

Po tém wyjaśnieniu co do obotryckich starożytności czyli wykopalisk prylickich, przejdźmy wreszcie do *Mikorzyńskich kamieni*, ażeby i tych także autentyczność ocenić.

Kamienie te, obecnie własność Akademii Nauk krakowskiej, znajdują się już od lat kilkunastu w Krakowie. Wierne ich kopie, odlewy z gipsu zrobione i w naturalnych i także w małych rozmiarach, rozrzucone są po wszystkich znaczniejszych zbiorach muzealnych naszego kraju. Jest ich dwa. Zostały znalezione w krótkim czasie jeden po drugim, na gruncie téj saméj wprawdzie wsi i przez jedną i tę samą osobę, ale na różnych miejscach*). Są to płyty z twardego, szaro-czerwonawego granitu, który mineralogowie nazywają *syenit*, średniej wielkości, surowo ociosane, po jednej tylko stronie oglądzone nieco staranniej. Jedna z nich, kształtu podłużnie okrągławego, przedstawia po téj właśnie oglądzonej stronie wklęsłość jakoby nieckowatą, zajmującą całą przestrzeń tego kamienia, wyłobioną widocznie ręką ludzką. Drugi kamień, nieco większy, ale bez żadnej wklęsłości, ma formę nieregularnego czworokąta. Były to niewątpliwie zwierchnie płyty czyli wieka pogańskich grobowców, użyte do położenia po nad urnami, w taki sposób, że podczas gdy urna wstawiona była w wnętrze jamy grobowej, kamienie te, wsparte na innych kamieniach sztorcem do koła poustawianych, stanowiły po nad urną ochronę od ciężaru ziemi, grobowiec pokrywającą. Takiego kształtu głazy znachodzą się dość często tu i owdzie w Wielkiej Polsce — zawsze na miejscach, które tam żalnikami, to jest cmentarzyskami pogańskimi nazywają, i w pobliżu urn z pod ziemi wydobywanych. Jakoż i z tych mikorzyńskich kamieni jeden, to jest ten okrągławy, mniejszy, z nieckowatą wklęsłością, został znaleziony tuż obok czerepów urny stłuczonej.

Co się tyczy samych kamieni, nie ma do tego oczywiście żadnego powodu, ażeby wątpić o ich odwiecznej autentyczności. Były to niezawodnie płyty, w pogańskich jeszcze wiekach przyrządzone na użytek, jak go oznażyłem powyżej. Nie przypuszczam tego bowiem, żeby się dziś komu chciało, dla żartowania sobie z łatwowierności sąsiada albo uczonych w mieście, podejmować ciężką pracę połączoną z ociosywaniem, oglądaniem i nawet wyłabianiem materiału tak twardego, jak granit albo syenit.

Innego za to przekonania jestem co do rysunków i runicznych napisów, jakie się dziś widzieć dają na tych obydwóch kamieniach. Nie stósuję tego, co powiem, do żadnej oznaczonej osoby. Historia rzeczy-

*) Bliższe szczegóły o znalezieniu obydwóch tych kamieni w wsi Mikorzynie i o innych okolicznościach z tém połączonych, podał dokładnie Wojciech Cybulski w swojej rozprawie o runach, zamieszczonej w Rocznikach Tow. Przyj. Nauk Poznańskiego. Do téj tedy rozprawy odsyłamy czytelnika ciekawego dowiedzieć się całego przebiegu rzeczy.

wista znalezienia ich na mikorzyńskim gruncie bynajmniej jeszcze nie jest dobrze wiadoma. Kto tu był oszukanym, a kto oszukującym i z jakich powodów i wśród jakich okoliczności? to wcale jeszcze nie wyjaśnione. Nie czyniąc tedy nikomu w szczególności zarzutu za to, co zaszło — biorąc rzeczy zupełnie przedmiotowo: oświadczam uroczyście, że daleki jestem i od zamiaru i od możliwości ubliżenia komukolwiek bądź w szczególności, jeżeli utrzymuję, że *runy i rysunki rzeczzone są sfalszowane*. Powstały one na tych kamieniach dopiero między rokiem 1853 a 1856, najpewniej roku 1856. Utrzymuję nadto, że dopuściła się tej mistyfikacji osoba jakaś, mało albo wcale z archeologią nieobeznana; i że całém źródłem jęj starożytniczych natchnień, jedyną studnią jęj erudycyi, były dwie rozprawy Lelewela: „*Bahwochwalstwo słowiańskie*“ i „*Cześć bahwochwalcza Słowian i Polski*“, z których pierwsza pojawiła się po raz pierwszy w r. 1853 w tak zwanym Tomie Wstępnym „*Polski wieków średnich*“ (Poznań 1853), druga zaś w I tomie tegoż dzieła, którego edycja druga najwięcej rozpowszechniona, wyszła w Poznaniu 1855. Z tych tedy dwóch książek niezawodnie zaczerpnął autor mikorzyńskich starożytności wszystko, czego mu było potrzeba, ażeby tego runicznego dzieła dokonać; i na latach publikacyi obydwóch tych jego źródeł opierając się, i ja także miałem możność oznaczyć czas, kiedy to mniej więcej było...

Zostało więc dokonane to lapidarne dzieło dopiero w roku 1855 lub 1856. W tymże 1856 też roku pojawiła się w Gazecie Poznańskiej pierwsza wiadomość o niem. Zrazu doniesiono o znalezieniu jednego tylko kamienia, lecz z dodatkiem, że „ludzie miejscowi powiadają, iż przed kilkunastu laty znajdowano w Mikorzynie więcej podobnych rzeczy — tylko inakszych, bo z ptakami, *końmi* (!) i różnymi dyabłami.“ We dwa miesiące później rzeczywiście przyszła do Poznania wiadomość o odkryciu, przez tę samą osobę, drugiego podobnego kamienia — właśnie z zapowiedzianym już naprzód *koniem*! — Gdy wysłannik poznańskiego Towarzystwa Przyj. Nauk zainteresowanego owém odkryciem, t. j. p. Białęcki, umyślnie dla sprawdzenia rzeczy samęj na miejscu zjechał do Mikorzyna i rozpytywał się „ludzi miejscowych“, gdzie te kamienie zostały znalezione i gdzie widziano owe „inaksze“: — okazało się, że ci ludzie ani o jednych, ani o drugich nic właśnie nie wiedzieli. Właściciel Mikorzyna, nieobecny natenczas w domu, niekontent czegoś był z całej téj roztrąbionęj sławy jego majątku. Najbliżej interesowana osoba... jego synowiec P. Piotr Droszewski, podobno emigrant, trochę miłośnik archeologii i zbieracz starożytności, który niewiadomo mi dokładnie jaką właściwie rolę w owych odkryciach odgrywał — także gdzieś wtedy wyjechał z Księstwa. Wieśniak, który miał być obecny przy wydobyciu pierwszego z tych dwóch kamieni ze ziemi, nie żył już wtedy! Może dla tego też już potem trzeciego kamienia runicznego w Mikorzynie (z ptakami i dyabłami) nie znaleziono, choć bez run leży ich tam w okolicy kilka podobno jeszcze...

W niepojęty dla mnie sposób, mistyfikacja owa, tak podejrzana już na pierwszy rzut oka, znalazła jednak w świecie literackim powszechną wiarę. Lelewel tak się do niej zapalił, że nawet z urąganiem rzucił w przyszłość zapowiedź, że znajdzie się kiedy Niemiec jaki, który (jak Lewezow co do prylwickich bożków) i tu także podrobienia i oszustwa będzie dowodził. Tak niezachwianie wierzył ten nasz badacz przeszłości w autentyczność owych napisów!

Zobaczmy, jakie to są napisy.

Na kamieniu wpierw znalezionym, okrągłym, wydrapany jest w samym środku jego wklęsłości rysunek, przedstawiający w popiersiu bożka *Prowego*. Resztę miejsca, poniżej tego rysunku (niezmiernie niezdarnego), wypełniają bazgraniny runiczne, także w kamieniu wykute. Ich odczytanie może być dla nas zupełnie obojętne. Czy je tam kto czytać będzie, jak chciał Cybulski:

Smir. Kmet. Prowe

czy jak drudzy decyrowali:

Sbir. Prowe. Kbel

albo też:

Smir. Prowe. czet

sensu zdrowego bełkoty te mieć nie będą, i nie chodziło też wcale o to ich dowcipnemu autorowi. Runy co do kształtu swojego są zgola takie same, jak na bałwankach prylwickich. Podał cały ich alfabet we wspomnianych wyżej dziełach swoich Lelewel, i z tych też dzieł one tutaj żywcem przeniesione zostały. Co się tyczy rysunku bożka, widocznie i niezaprzeczenie wzięty on jest z tablicy Lelewela, dołączonej do jego „Czci bałwochwalczej“, na której bożyszcze to figuruje pod Nr. 8 w téjże samej zgola postaci, nawet z tymże napisem „Prowe“. A ponieważ wszystko, co się znajduje na téj lelewelowskiej tablicy, było wzięte z dzieła Potockiego (nie Mascha), i obejmuje same tylko wizerunki bożyszczy téj partyi, którą Sponholtz w końcu życia swego posiadał i o której później przedewszystkiém sądownie dowiedzioném zostało, że to roboty własnej tego oszusta industyi: więc i ten Prowe do téjże kategorii należy. (Dany on jest u Potockiego jako fig. 12.) Skoro zaś taki jego początek, więc oczywiście nie dostał on się i na mikorzyński kamień w pogańskiéj jeszcze epoce. Zkądinąd wiadomo też przecież każdemu, kto tylko czytał Helmolda albo jaką mitologią słowiańską, że wizerunków żadnych zmysłowych Słowianie bogu Prowemu nie dokonywali, ale go czcili jedynie w wyobraźni: o czém śnać nie wiedział ani Sponholtz ani archeolog nasz mikorzyński. Gdyby mu to było wiadome, nie wiem, jakby sobie w takim razie był począł. Wiedzieć bowiem należy, że z całej téj Lelewela tablicy ta jedna tylko figura, pod Nr. 8 dana, tak jest

prosta i łatwa do przerysowania, że ją i nie będąc artystą, można było dłutkiem na kamieniu jako tako wypukać. Inne rysunki, nierównie więcej skomplikowane, byłyby znacznie do odrysowania trudniejsze. To więc jedyny jest powód, dla czego właśnie Prowego, a nie innego bożka, mamy na owym kamieniu.

Drugi kamień, jako pochodzący z téj saméj ręki, już przez to samo podlega podejrzeniu. Można sobie krom tego jednak i tutaj dokładnie uprzytomnić, jak powstał wizerunek na nim, w takiż sposób wyryty, co na pierwszym kamieniu. Jest to niezdarne wizerunek konia. Ale i ten koń ani nie jest zabytkiem czasów pogańskich, ani nawet własnym pomysłem mikorzyńskiego rytownika. Jest to rodzeniuteńki braciszek, jak najwierniejsza kopia owego konika, którego w zbiorach krakowskich może każdy oglądać na posągu Swantewita, wydobytego przed kilkunastu laty ze rzeki Zbrucza, a o którego istnieniu i postaci dowiedział się nasz archeolog nie zkądinąd, jak z drugiey rozprawy Lelewela, wyżéj wspomnianéj. Dany jest w niéj bowiem rysunek tego zbruckiego posągu ze wszystkimi jego ornamentami zamieszczonymi u stóp Swantewita, a zatém i konikiem tam wyrzeźbionym.

Na około tego konia czytamy na mikorzyńskim kamieniu znowu kilka runicznych bełkotów, które, jak się samo rozumie, nie mają żadnego sensu. Czytali je różni różnie.

Zbir. woin. boh. dan. sl. na. woi (Lelewel).

Smir. woin. s. l. na. woi. bohdan (Cybulski).

Swir. bog. odin. woin. Lutuoi (Wocel, czeski uczoney).

Smir. bohodan. woin. s. Upawoi (X. Petruszewicz, ruski badacz).

Smir. bohdan. woin. s. Ludiwoi (Rogawski) i t. d.

Komentarze, jakie ci uczeni dołączali do tego odczytania, zwłaszcza Lelewel*) i Cybulski, mogą iść śmiało o lepszą z bujnością starożytniczej fantazyi ś. p. Tadeusza Wolańskiego, o którego inskrypcyjnych odkryciach całe W. X. Poznańskie zapewne jeszcze pamięta.

Do odkrycia mikorzyńskich kamieni przywiązywali uczeni słowiańscy zaraz po ich znalezieniu tém więcej uwagi, że zdawało im się, iż przez nie usuwają się tedy nakoniec wiekowe wątpliwości i co do owych wykopalisk prylwickich, takimi samemi opatrzonych runami, co te właśnie kamienie. Zdawało im się, że od téj pory nie wolno już będzie wątpić o autentyczności tamtego wykopaliska. Ztąd to tak powszechne zajęcie, z jakim się wzięto do tego. Tymczasem bezstronne a nieuprzedzone rozpoznanie tego późniejszego odkrycia prowadzi, jak sądzę, każdego do przekonania, w sposób już nie zachwiany, że to fabrykat, któ-

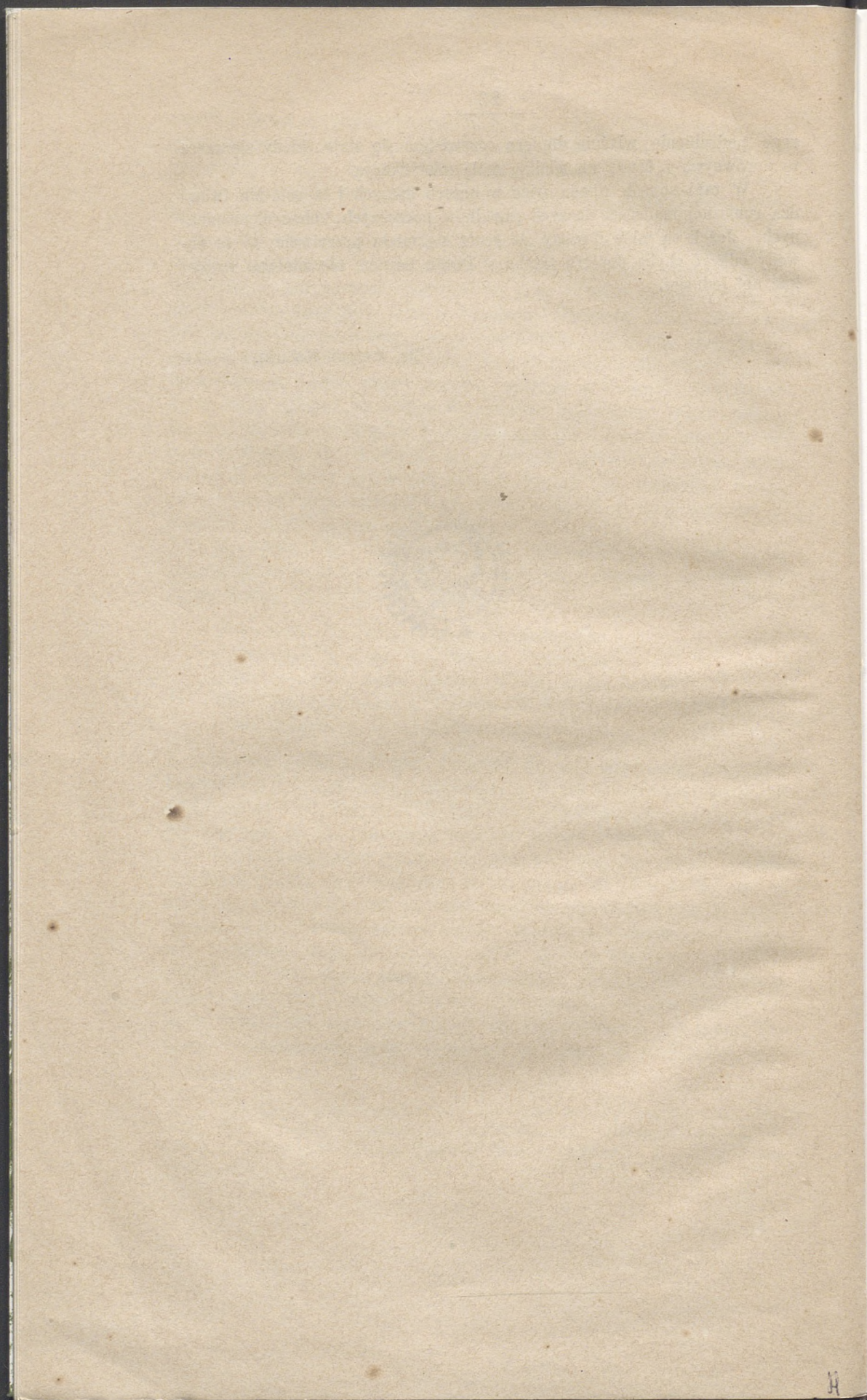
*) Lelewela uwagi o mikorzyńskich kamieniach znajdują się w ostatniey (z roku 1857), edycyi jego pism dotyczących mitologii słowiańskiej, które wyszły wszystkie razem p. t. „*Cześć bałwochwalcza Słowian i Polski*“ w Poznaniu u Żupańskiego, jako tomik osobny.

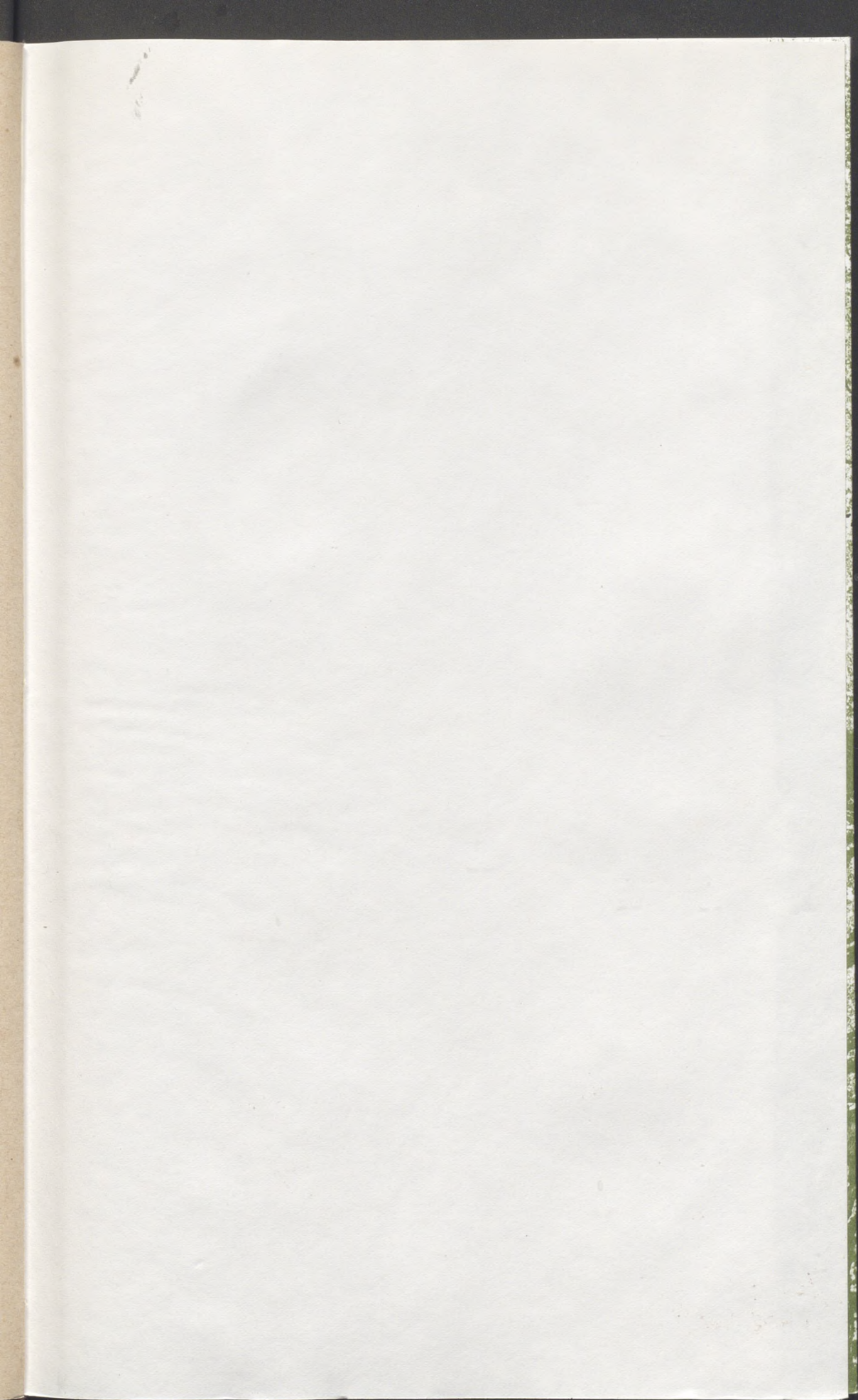
rego podrobienie właśnie dopiero oczywistém się staje, kiedy się rzecz tę porównywa z tamtą na wielką skalę mistyfikacją.

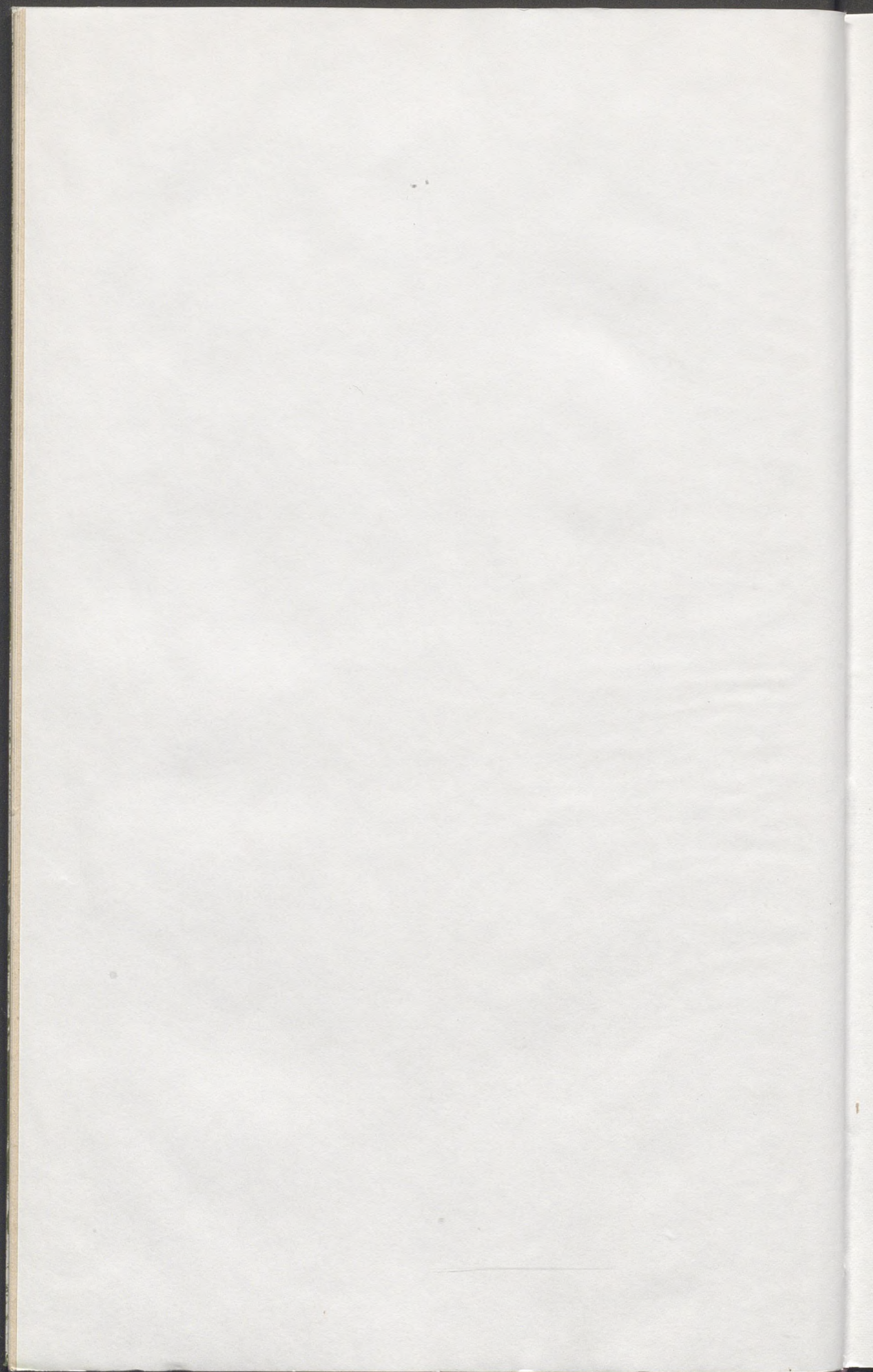
W taki sposób upada więc w oczach naszych i ta ostatnia twierdza runicznej mądrości naszych przodków pocziwych, choć niepiśmionych. Jeżeli są jakie dowody, że rzecz się miała przeciwnie, to te dowody odkryć chyba dopiero trzeba. Dotąd bowiem nie zdołano wyszukać ani jednego.

Dr. Antoni Małcki.













395317

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019105398